

Zamknięci na grani

Piotr Morawski (Alpinus Expedition Team)

www.piotrmorawski.com

Znowu na Baltoro

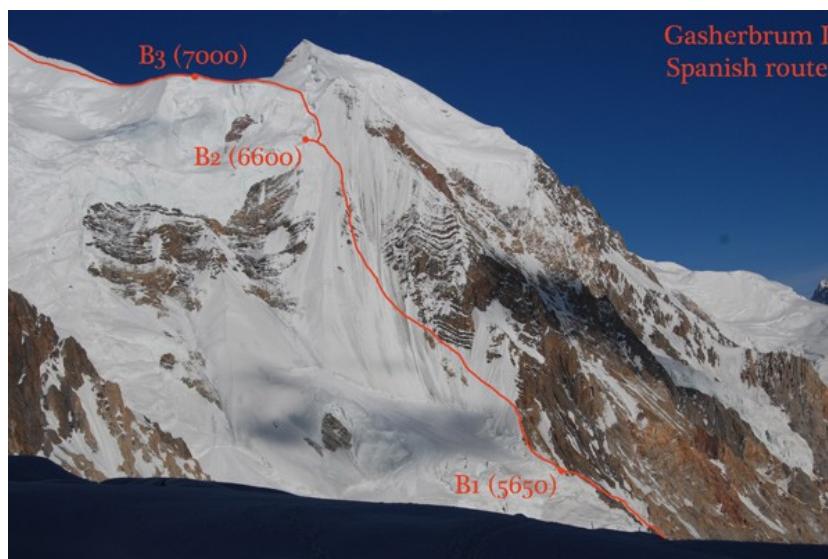
Nie minęły trzy tygodnie od powrotu z Annapurny, a siedziałem w samolocie zmierzającym do Islamabadu. Jakby stanął czas. Rok temu, dwa lata temu... Tym razem leciałem sam. Z Peterem Hamorem miałem spotkać się dopiero w stolicy Pakistanu. Nie wiedziałem, czy mój organizm zdążył się zregenerować po wydarzeniach na Annapurnie, a przed nami był kolejny cel: trawers Gasherbrumów od I do III.

Serdeczny Ghulam z Blue Sky Treks & Tours przejął nas w Islamabadzie, potem podróż do Skardu, jeepy do Askoli i mogliśmy ruszać po raz trzeci w górę lodowca Baltoro. Razem z nami na trekkingu szła dwójka Portugalczyków, Daniela i Paulo, którzy także szli na Gasherbrumy. Znajome kamienie do Concordii, nowy dla nas odcinek i jesteśmy w bazie. W której jest niewiele wypraw. Dopiero początek sezonu. Przed nami widnieje ściana Gasherbruma I, której środkiem biegnie droga Kurtyki i Kukuczki. W jej prawej części stroma grań. Jej zboczem wiedzie droga hiszpańska z 1983 roku, którą ostatecznie obraliśmy za cel. Wiedzieliśmy o niej tylko tyle, gdzie się zaczyna i że gdzieś łączy się z drogą amerykańską. Reszta była niewiadomą.

1200 metrów lodu

Zabraliśmy ze sobą namiot i jedzenia oraz gazów na 10 dni. Prognozy pogody nie były zbyt pomyślne. Nauczeni jednak zeszłorocznym doświadczeniem, nie chcieliśmy czekać. Zrzuciliśmy ciężkie plecaki i ruszyliśmy prosto pod ścianę. Na szczęście nie musieliśmy iść wzdłuż posiekanego szczelinami lodowca Gasherbrum Południowy. Przed nami było prawie dwa tygodnie samotnej walki z górą, z czego wiele dni na dużej wysokości.

Poranek był pechowy. Wpadłem do jeziora na lodowcu prawie po szyję, na szczęście tylko połową ciała. Z wodą chlupoczącą w bucie wszedłem w ścianę. Pierwsza część drogi wiedzie skalnymi kuluarami z niewielką ilością śniegu i lodu. Przed południem wykopaliśmy z Peterem platformę i mieliśmy pierwszy biwak na 5600. Ściana, po której mieliśmy iść kryła się za granią.



Ilodowa część drogi hiszpańskiej

Obudziliśmy się wcześnie i szybko wyszliśmy. Najpierw pokonaliśmy śnieżną grań z dobrym śniegiem, który napawał nadzieją na dobre warunki w ścianie. Za granią weszliśmy w lodowe strome pole. Śnieg leżał tylko na powierzchni lodu. Krok za krokiem, z plecakami ciężącymi ku ziemi, trawersowaliśmy ku skale, na której można by usiąść. Nie było żadnego miejsca, w którym odpoczęły by zmęczone nogi. Cały czas na przednich zębach raków, z serakami wiszącymi nad głową. Dotarliśmy do skały porządnie zmęczeni.

Dalej lód był ciągle taki sam, ale przynajmniej mogliśmy iść do góry. Przed nami majaczyły skały. Już po dwóch godzinach ciągłego wspinania myślałem, że mi pękną łydki z wysiłku. Plecak stał się nie do zniesienia niemożliwie. Modliłem się, by dotrzeć do skał, a kiedy tam dotarliśmy okazało się, że są prawie wszystkie pod lodem. Nie było miejsca na odpoczynek i trzeba było iść dalej. Kolejne metry to walka o to, by przejść skały. A za skałami, do seraków, w których można by postawić namiot, było jeszcze ze 200 metrów. Z dołu wyglądało tak blisko! Lód stał się twardszy, śniegu na nim nie było w ogóle.

Pierwszy dotarł Peter. Zapadał wieczór, ale przynajmniej wiedziałem, że jest miejsce na biwak. Ostatkiem sił uciekłem z lodowego pola w seraki i przez 20 minut nie mogłem się ruszyć. Przed nami zostało tylko 200 metrów lodowego zbocza do wyjścia na grań. Byliśmy zaledwie na 6600 metrach.

W śniegu

Śnieg padał od rana. I tak mieliśmy zrobić sobie dzień odpoczynku. Niestety wieczorem i kolejnego ranka nadal sypało. Dostaliśmy prognozę pogody, że załamanie może potrwać i tydzień. Mieliśmy jedzenie i gazy, więc postanowiliśmy czekać. Zresztą o powrocie do bazy nie było mowy. Musielibyśmy zjechać lodowym zboczem na dół. A mieliśmy tylko 4 śruby i 60 metrów liny. Kolejne trzy dni siedzieliśmy zamknięci w namiocie i czekaliśmy, aż przejdą chmury.

W końcu nadszedł poranek bez śniegu. Szybko spakowaliśmy namiot i ruszyliśmy na ostatnie 200 metrów lodowego wspinania. Niespodziewanie musieliśmy zrobić trawers przez przewieszoną, śnieżną krawędź grani. Przebiliśmy się przez seraki i trzeci biwak założyliśmy już na śnieżnej przełęczy powyżej 7000 metrów. Przed nami widać było do tej pory zakryta, długa, śnieżno-skalna grań. Nie spodziewałem się, że będzie, aż tak długa. Wierzchołek wyglądał jakby był tuż obok. Ale nie był.

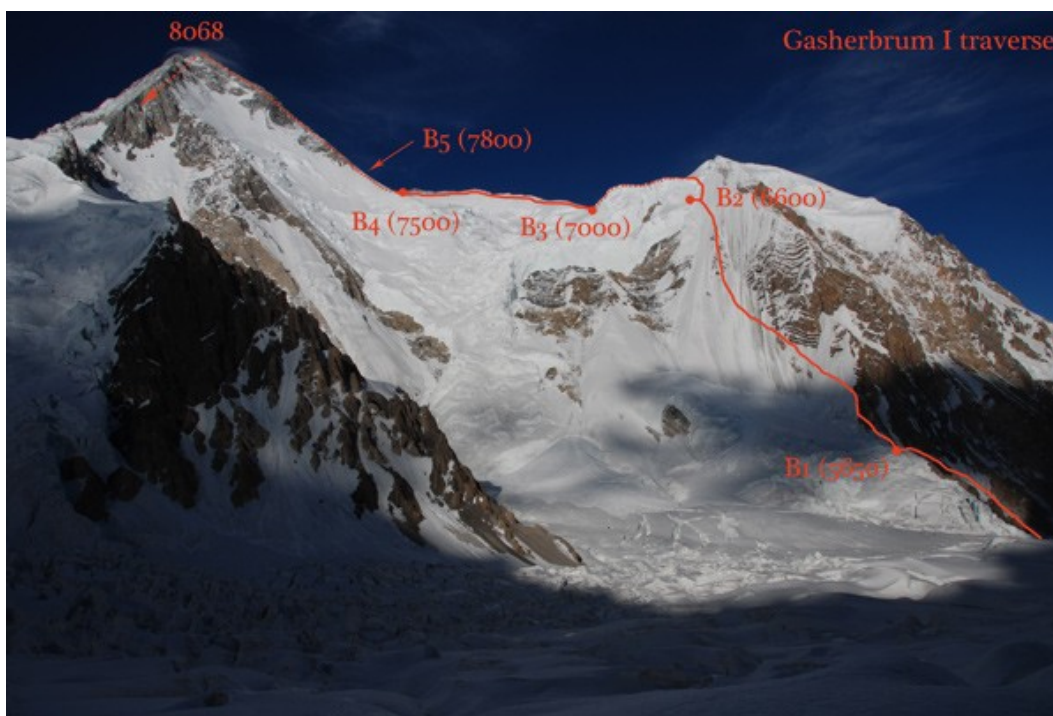
21 czerwca był długim dniem. Torowaliśmy z Peterem na zmianę i brakowało już sił. Co chwila nachodziły chmury i padał śnieg. Już po zachodzie słońca rozłożyliśmy namiot

na czwartym biwaku na wysokości 7500 metrów. Wydawało się, że następnego dnia dojdziemy do szczytu. Niestety. W nocy znowu padał śnieg. Kolejny dzień leżenia w namiocie. Trochę za wysoko jak na odpoczynek.

Kolejnego dnia rano znowu padał śnieg. Ale nie daliśmy za wygraną. Zwiniliśmy namiot i powoli ruszyliśmy dalej granią. Byle nie siedzieć w jednym miejscu. W końcu z niej zesliśmy i mozolnie zaczęliśmy torować drogę na śnieżnym plateau. Po kilku godzinach zaczęliśmy kopać platformę. Było pewnie z 7800 i kopanie zajęło nam czas aż do późnego wieczora.

W namiocie dużo picia i krótki sen. I niespodzianka w nocy: piękne, rozgwieżdżone niebo. 24 czerwca nie spieszyliśmy się z wyjściem. Mieliśmy lżejsze plecaki o większość gazów jedzenia. Śnieżny, lawiniasty kuluar i znowu torowanie. Marzyłem o tym, by w końcu stąpać po czymś twardym. Niebezpieczne torowanie w głębokim śniegu i po 7 godzinach wylądowaliśmy na grani. Na twardym śniegu. Pogoda przepiękna, wiatr prawie nie wiał. W końcu jakaś nagroda.

Peter szedł pierwszy. Nagle usłyszałem jego głos: Piotrek, tutaj chyba jest szczyt. Kilka metrów nad nami była śnieżna grań, która wyglądała na przewieszoną z drugiej strony. Rzeczywiście najwyższe miejsce, ale żadnego znaku z drogi normalnej. Powoli wyszedłem do góry, ostrożnie, by przewieszony serak się nie zwałił. Chciałem dotknąć ręką grani i zobaczyć, co jest poza nią. Wyjrzałem i dokładnie przed moim nosem zobaczyłem szablę śnieżną i flagi. Szczyt był z drugiej strony. Kilka zdjęć z naszymi



ogromnymi plecakami i zaczęliśmy zejście.
Gasherbrum I - trawers

Trudniej niż na Annapurnie

Po dwóch dniach dotarliśmy do obozu I na lodowcu, gdzie było już mnóstwo namiotów z innych wypraw. Nasze jedzenie było na ukończeniu, a jeszcze nadchodziło kolejne załamanie pogody. Zdecydowaliśmy się na powrót do bazy. Daliśmy z siebie wszystko. 1200 metrów stromego lodu, trawers ośmiotysięcznika z całym sprzętem biwakowym, nas tylko dwóch na górze. A wszystko tak, jak mi się zawsze marzyło: po prostu wzięliśmy plecaki i poszliśmy. Żadnego poręczowania, czy wracania do bazy. Droga

była bardziej wymagająca, niż północno-zachodnia ściana Annapurny. Było z czego się cieszyć.

Kolejny raz do góry

Wróciliśmy do bazy i przez 3 dni prawie nie mogliśmy się ruszyć. Postanowiliśmy pójść na przełęcz pomiędzy Gasherbrumem II, a Gasherbrumem III i stamtąd zaatakować obydwie wierzchołki. Na szczęście załamanie pogody trwało prawie tydzień i mogliśmy spokojnie siedzieć w bazie.

Wyruszyliśmy 2 lipca do góry. Pierwszy raz widziałem tyle osób na jednej górze. Oprócz nas ruszyło też wiele innych wypraw. Dzień później byliśmy już w obozie drugim. Cały tłum podążał równoległe z nami. Nowe doświadczenie. Szliśmy znowu z ciężkimi plecakami, bo chcieliśmy w obozie na przełęczy przetrwać nadchodzące załamanie pogody. 4 lipca zatrzymaliśmy się w obozie III tylko na odpoczynek i poszliśmy dalej do góry, by spędzić noc w czwórce na 7400. W ten sposób wyminęliśmy wszystkie wyprawy i znowu byliśmy sami.

Budziki mieliśmy nastawione na 4 rano. Wiatr wiał cały wieczór i w nocy się nie uspokoił. Niespodziewanie przed drugą obudził nas jakiś chrzęst i głosy. Z trójki szedł atak szczytowy, chyba ze 20 osób. Wtuliliśmy się w śpiwory i spokojnie zaczekaliśmy na budzik.

Pierwszy raz widziałem gołą czkłę szczytu, ludzi idących z nieprzytomnymi oczami wpatrzonych w ślady, przewracających się na śniegu, ale idących do góry. Byle tylko dotrzeć. Wiatr był coraz silniejszy i godzinę przed szczytem przyszły chmury i zaczął padać drobny śnieg. Na szczęście szczytowy serak był doskonale widoczny. W okolicach 9 rano byliśmy na nim. Bez plecaków było tak lekko i przyjemnie!

Nie rozumiem jednej rzeczy. Mimo, że serak był widoczny większość ludzi poszła za tragarzami zupełnie w innym kierunku. Stanęli 50 metrów pod szczytem, na śnieżnej grani i zaczęli sobie robić zdjęcia z flagami. Bo tragarze im powiedzieli, że tam jest wierzchołek. Kilka osób jednak zawróciło z grani i poszło za nami na serak. Rozumiem, że nastąpiła doba wypraw komercyjnych, ale wierzchołek jest jeden. A druga rzecz, to do czego potrafimy się przyznać i czego w górach szukamy. Ale to temat na zupełnie inną dyskusję. Na zdjęciu widać dokładnie i szczytowy serak i śnieżną grań poniżej.

Epilog

Wróciliśmy do obozu IV. Niestety wiatr przybierał na sile z godziny na godzinę. Po kolejnej nocy stwierdziliśmy, że czas iść na dół. Gasherbrum III musi poczekać na następne lata. Nie przyjechał także Piotr Pustelnik, z którym mieliśmy iść na trawers Broad Peaków. Zresztą nie wiem, czy bylibyśmy w stanie. Cały czas czuliśmy jeszcze trawers Gasherbruma I. Czas było wracać do domu. 4 miesiące ciągłej wyprawy to dużo czasu.

Zakończył się kolejny sezon. Poszczęściło nam się pod Ama Dablam, bo byliśmy sami i było sporo pięknego wspinania z niesamowitymi widokami. Zrobiliśmy drugie powtórzenie drogi Gabbarrou na północno-zachodniej ścianie Annapurny (dla przypomnienia zdjęcie poniżej), w zaledwie 4 osobowym zespole (Piotr Pustelnik, Peter Hamor, Darek Załuski). Niestety mieliśmy pecha, bo nadeszła burza i samego wierzchołka nie udało się osiągnąć. Chociaż z drugiej strony dobrze, że przeżyliśmy, a ta droga jest jedną z najładniejszych i najtrudniejszych, które robiłem w Himalajach. Jako drugie i główne danie mieliśmy trawers Gasherbruma I (z Peterem Hamorem), czyli jeszcze bardziej wymagającą i równie piękną drogę. Na deser Gasherbrum II i choć nie zrealizowaliśmy wszystkiego co chcieliśmy, był to bardzo udany sezon.



dla przypomnienia, droga Gabbarou na północno zachodniej ścianie Annapurny